Rok III. Lwów, 15 maja 1909. Nr. 2.

Członkowie Sekcyi Turystycznej T. T. otrzymują czasopismo bezpłatnie. .. ..

TATERNIK

Prenumerata wynosi 3 K (3 M., 1 rub. 50 kop.) rocznie z przesyłką. .. .. ..

Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego

Wychodzi sześć razy do roku pod redakcyą komitetu.

Adres Redakcyi: Roman Kordys, Lwów, Lindego 10. Adres Administracyi: Mieczysław Lerski, Lwów, pl. Bernardyński 3.

Pojedyncze numery są do nabycia w cenie 50 h. we Lwowie w Księgarni Polskiej, ulica Akademicka; w Krakowie w biurze dzienników Hopcasa & Salomonowej i u J. F. Fischera, Rynek A-B; w Zakopanem w księgarni L. Zwolińskiego, Krupówki i w handlu A. Górasia, Krupówki.

Zarząd Sekcyi turystycznej Tow. Tatrz. przypomina, że w myśl uchwały Ogólnego Zgromadzenia członków z 22 sierpnia 1908 r. wkładka członkowska podwyższoną została na **trzy (3) korony.**

Wkładki uprasza się przesyłać pod adresem skarbnika Sekcyi p. Stanisława Szopińskiego, Lwów, Pasaż Mikolascha.

······ **Czas odnowić prenumeratę.** ······

Następny (3-ci) numer „Taternika“ wyjdzie w pierwszej połowie czerwca.



TATERNIK

Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego.

Rok III. Lwów, 15 maja 1909. Nr. 2.

✝

Mieczysław Karłowicz

kompozytor-muzyk

zginął w Tatrach — zasypany lawiną — ósmego lutego 1909 r.

Taternictwo polskie traci w Nim jednego ze swych największych, który Tatry umiłowawszy, w niedostępne ustronia ich wnętrza się zapuszczając, Wieczystego Piękna odnajdował w nich źródło bijące. Najgłębszą Swego ducha tęknotą w milczenie turni wsłuchany, w ich skalistej samotni natchnienie czerpiąc, w sztuce je unieśmiertnił. Z duszą Tatr w nierozłączne wstąpił przymierze.

Cześć Jego popiołom!

Karłowicz jako taternik.

Po wielu dniach mgły i niepogody zeszedł piękny dzień zimowy. Gdy słońce ozłociło śniegiem okryte wierzchołki Tatr, on był już wśród nich. Wierne narty niosły go w ciche państwo zimy, wokoło witały go szczyty znane i ukochane, — i szedł wśród nich szczęśliwy i pełen radości. Bo był sam, — sam jeden w bezludnej krainie gór, wobec przyrody tylko. Bo nie wiedział, że stała już za nim wówczas groźna i bezlitosna pani życia. Poruszony nartami stok śnieżny runął w dół grzebiąc w lodowym uścisku człowieka i przestało na zawsze bić serce, które niezmiernie ukochało góry.

Od tej chwili minęły tygodnie i miesiące, a nam wciąż jeszcze trudno uwierzyć, że Karłowicz nie żyje, wciąż jeszcze nie podobna pogodzić się z tem twardem przeznaczeniem, które skreśliło go z rzędu żyjących. Bo nie był on z grona tych, co idąc w góry szukają w nich oszałamiającej rozkoszy walki i niebezpieczeństw. On szukał w górach piękna i ciszy, upojenia przyrodą...

Jeśli ginie w górach człowiek, dla którego taternictwo — niebezpiecznym sportem, a góry — przyrządem, na którym dzielność swą i siłę okazać może, to jakkolwiek bolesna będzie śmierć jego, w głębi serca usprawiedliwić ją musimy, bo „kto mieczem walczy, od miecza ginie“. Jakżeż jednak bezlitosne były bóstwa gór, gdy taką dla siebie zabrały ofiarę. Wszak szedł on w Tatry zawsze pełen miłości i czci dla nich, — nie po to, aby w brutalnej walce wydrzeć górom zwycięstwo, lecz aby na opuszczonych ścieżkach górskich, samotny — mógł złożyć ze siebie mękę i utrudzenie życia. „Wędrówki po Tatrach — pisał Karłowicz — jak woda kryniczna orzeźwiały mi ducha, były mi jednem z ogniw, wiążących i godzących z życiem. Los rzucał mną dużo po świecie: widziałem zastygłe w lodzie cielska olbrzymów alpejskich, podziwiałem ponurą dzikość Czarnogórza, wpatrywałem się w białą szatę majestatycznej Etny. Lecz żadne z tych gór nie były mi tem, czem Tatry“...

„I gdy znajdę się na stromym wierzchołku, sam, mając jedynie lazurową kopułę nieba nad sobą, a naokoło zatopione w morzu równin zakrzepłe bałwany szczytów — wówczas zaczynam rozpływać się w otaczającym przestworze, przestaję się czuć wyosobnioną jednostką, owiewa mnie potężny, wiekuisty oddech wszechbytu. Tchnienie to przebiega przez wszystkie fibry mej duszy, napełnia ją łagodnem światłem i sięgając do głębin, gdzie leżą wspomnienia trosk i bólów przeżytych, goi, prostuje i wyrównywa. Godziny, przeżyte w tej półświadomości są jakby chwilowym powrotem do niebytu; dają one spokój wobec życia i śmierci, mówiąc o wiecznej pogodzie roztopienia się we wszechistnieniu“.

*

Stanowisko, jakie zajmował w sztuce naszej Mieczysław Karłowicz, najznakomitszy polski symfonista, omówili gdzieindziej inni. Nam wypada wskazać czem był Karłowicz jako taternik. Bo schodzi z nim w grób jeden z pionierów i heroldów nowoczesnego kultu gór, a pierwszy, który jasno i otwarcie rozwinął sztandar idealizmu w taternictwie. Schodzi z nim w grób wielki taternik, ale taternik dziwnego autoramentu. Stanowisko jego wśród dzisiejszego pokolenia taterników było wybitne, a jednak w jego wyprawach tatrzańskich mało było takich, któreby z punktu widzenia sportowego taternictwa stanowisko to wyrobić i uzasadnić mogły. Wielka rola, jaką piastował Karłowicz-taternik, nie na tem polegała, aby wskazał on nowe sposoby zdobywania szczytów, lub zniżyło parę stopni skalę trudności górskich. Nie! On był tylko tym, który pierwszy u nas powiedział, że wysokie góry są czemś więcej niż boiskami sportowemi, „że są one świątyniami przyrody, u których ołtarzów możemy złożyć niekiedy trudy naszego życia, znaleźć spokój i ukojenie“. I powiedział on dalej, że nie godzi się, aby te góry były widownią zmagania się zawiści ludzkich, chełpliwości i płaskich ambicyj. W tej myśli dźwięczy nuta nowa, a dziwnie głęboka, która zdawała się być obcą dzisiejszemu taternictwu.

Karłowicz zaświecił nową pochodnię w mrokach zagadki: „czem jest stosunek człowieka do gór?“. I w tem widzieć należy wielką rolę jego w taternictwie.

Dziwnie mało oddźwięku znalazła myśl jego wśród rzeszy taterników; stał on tam niemal osamotniony, a może tylko niezrozumiany. Ale ta wielka prawda, wypowiedziana przez Karłowicza wsiąknie prędzej czy później w szeregi tych, co rokrocznie przewieszeni liną, z ciupagą czy czekanem w ręku ciągnąć będą ku skalistym wierzchołkom Tatr. W sercach ich niezatartymi głoskami wypisane będzie imię tego, który dla ich miłości do gór — otworzył nowe tory.

*

Mieczysław Karłowicz zginął mając lat trzydzieści dwa. Wędrówki swoje po Tatrach rozpoczął już jako trzynastoletni chłopak, — pierwszy raz przebywał w Zakopanem w r. 1889 i odbywał wtedy mniejsze wycieczki pod wodzą Jana Stopki. O większych dowiadujemy się dopiero z r. 1892. Wówczas to wychodzi na Giewont, Czerwone Wierchy, Świnicę, Rysy, Bystrą. Chadzał stale z przewodnikami, był jednak bez nich dwukrotnie na Kościelcu, raz sam, po raz drugi z Januszem Chmielowskim. W onym czasie Kościelec uchodził za szczyt trudny, parę razy zaledwie zwiedzony. W rok później odbywa Karłowicz wśród innych wycieczek czterodniową wyprawę na Łomnicę (z Janem Kubinem), z którym też próbuje bezskutecznie wyjść na Mnicha. Rok 1894 przyniósł pierwszorzędną — na owe czasy — wycieczkę. W towarzystwie Jędrzeja Wali przechodzi Polski Grzebień, wychodzi na Garłucha (z zejściem do Doliny Batyżowieckiej), a następnego dnia na Mięguszowiecki Szczyt w onym czasie najtrudniejszy z wierchów tatrzańskich, zaledwie ośm razy zwiedzony. Z tą wycieczką kończy się pierwszy okres

wycieczek Karłowicza, — przez dziewięć następnych lat nie zachodził on w głębie Tatr.

Wtedy to, żegnając Tatry na długie lata, pisał o nich:

„...Wydaje mi się wycieczka moja marzeniem sennem: zdaje mi się, żem bujał w przestworzu, gdzie wiecznie słońce świeciło, gdzie nie dochodziły dźwięki mowy ludzkiej, gdzie zapomniałem o moich nadziejach, rojeniach na przyszłość i o namiętnościach, co duszą człowieka miotają. Smutno mi się robi, gdyż widzę, że te urocze chwile do przeszłości zaliczyć muszę, że to wszystko było i przebrzmiało, zostawiając tylko w duszy oddźwięk tych dni świetlanych.... Czy wrócę tam kiedy jeszcze? Nie wiem. Jeżeli los ślepy pchnie łódź moją w tę stronę, będę może tam jeszcze. Lecz któż zaręczy, że będę wówczas mógł odczuwać piękno tak, jak je dzisiaj odczuwam i że nieubłagane koleje życiowe nie zatrą we mnie tego uczucia estetycznego, zamieniając je w martwą obojętność?“

*

Długie lata minęły. Z młodego chłopca marzyciela wyrósł mąż dojrzały, znany i ceniony kompozytor muzyk. Lecz dziwnie mało miał ten człowiek jasnych chwil w życiu: ból, smutek i troska były mu gościem codziennym. Zawistny los ścigał go bezustannie, — „zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno i wszędzie mi źle“ mógł rzec o sobie. W owych dniach smutku i udręczenia zrozumiał i odczuł całą moc płynącą z miłości tego, co mu drogie zostało na świecie: miłość do Matki, umiłowanie sztuki, wreszcie miłość do gór były mu teraz wszystkiem. Przygnieciony męką życia przyszedł do Tatr, starych, dobrych przyjaciół, aby znaleźć w nich spokój i ukojenie. I znalazł je. – Tatry stały mu się „jednem z ogniw, wiążących i godzących z życiem“. Przylgnął do nich całą potęgą swego ducha, osiadł u ich stóp — jak mawiał — „na zawsze“. Rozpoczęły się teraz ciągłe, niestrudzone wędrówki po Tatrach. Ilekroć po chmurnych dniach niepogody zajaśniały góry w słonecznych blaskach, — „wtedy jakaś tajemnicza, olbrzymia dłoń porywała go i niosła hen ku wyżynom górskim“. Nie chciał być zdala od Tatr przez czas długiej i groźnej zimy górskiej: uzbrojony w narty, raki i czekan torował sobie drogę w niepodzielne państwo zimy. Pragnął czerpać u zdroju wrażeń — czyste i niezamącone; dlatego szedł w góry nieuczęszczanemi drogami i sam.

Aż wreszcie z jednej z takich wędrówek nie wrócił żywy...

*

Niepodobna zestawić tutaj wszystkich wypraw Karłowicza z lat 1904—1909 tak wiele ich było; zresztą w zestawieniach wycieczek swoich drukowanych w Taterniku (1908 str. 37, 1909 str. 16) opuszczał wszelkie „mniejszego znaczenia“. Najważniejsze wycieczki z tych czasów są:

r. 1905: Lodowy, Wysoka, Baranie Rogi (bez przewodnika).

r. 1906: Orla Perć, Krywań, Jastrzębia Turnia, Mały Kołowy, Durny, Pośrednia Grań (północną ścianą), Staroleśna (od Staroleśnej Doliny), Batyżowiecki, Żłobisty, Rumanowy (nowe waryanty), Ganek.

Od r. 1907 zaczyna Karłowicz chodzić przeważnie bez przewodnika. Zwiedza Młynarza (nową drogą), Przednią Basztę, Kończystą (sam), Śnieżną Przełęcz, Łomnicę drogą Jordana (zejście północną ścianą). Próbuje bezskutecznie (z Klimkiem Bachledą) wyjść na Ostry Szczyt. Następują: Kiezmarski Szczyt (sam), Jagnięcy i Kozia Turnia (III. wyjście sam), I. wyjście na Turnię nad Stawem Kołowym, Solisko (nową drogą, sam), Szatan i Baszta Przednia, Ostra (I. wyjście granią południową) i Krótka. Następnie wychodzi jednym dniem na Mnicha i Mnicha II., wreszcie późną już jesienią zwiedza z Józkiem Tomkowym Ostry Szczyt południową ścianą, Kołowy i Czarny Szczyt.

R. 1908 przynosi wycieczki zimowe. Wychodzi jako pierwszy w zimie na Kościelec, Krzyżne, Wołoszyn, Żółtą Turnię, przechodzi przez Liljowe, Zawory i Koprową Przełęcz, sam przejeżdża na nartach przez Waksmundzką do Morskiego Oka, sam wychodzi na Kasprowy Wierch. Z początkiem lata udaje się w Tatry Zachodnie, gdzie zwiedza Wołowiec, Rohacze i Osobitą. Następnie widzimy go na południowym Szczycie Kościelca i Zawratowej Turni. W celu wyznaczenia ścieżki wychodzi na Szczyt Mięguszowiecki „Nad Czarnym" i na Niżnie Rysy, których północny wierzchołek jako pierwszy zwiedza. Jest na Świstowym, Graniastej Turni, na Szczycie Jaworowym (częściowo nową drogą), prowadzi wycieczkę Sekcyi Turystycznej na Wyżni Żabi Szczyt i Żabiego Mnicha. Wychodzi jako pierwszy na ostatnią z niezwiedzonych potężnych turni tatrzańskich, Czeską Turnię; dwukrotnie wybiera się na Grań Jaworową, której większą część przechodzi, zwiedza sam Cubrynę (zejście granią północno-zachodnią), wszystkie turnie Małego Giewontu, Mały Szczyt Jaworowy (nową drogą), Dziką Turnię i Suchy Wierch. Wszystkie wycieczki z tego roku odbywa bez przewodnika.

W zimie 1908/9 widzimy go na Kasprowym Szczycie w Kasprowej Dolinie, w Kondratowej Hali i na Goryczkowej Przełęczy. Wycieczka do Czarnego Stawu była jego ostatnią.

*

Z tego mnóstwa wycieczek na szczyty tatrzańskie, wśród których nie brak niemal żadnego — bardziej wybitnego, przebija się charakterystyczny dla Karłowicza rys Oto nie zwiedzał on tylko szczytów i turni pod względem sportowym na zwiedzenie zasługujących; przeciwnie — ulubione mu były okolice i zakątki tatrzańskie, do których tylko niesłychanie rzadko zachodziły wyprawy taterników. Widzimy go na Ostrej, Krótkiej, Solisku, Świstowym, Jaworowym Szczycie, na Młynarzu, Żabich Szczytach, Murach Liptowskich, Jaworowej Grani. Zdala od „jarmarku turystycznego i pseudoturystycznego", choćby na szczytach łatwych i „mało interesujących" przeżywał najpiękniejsze chwile życia. To też nie lubiał on rozdzielać gór na „łatwe" i „trudne", — wszystkie były mu równie miłe i równie ciekawe. Jego największy „problem" tatrzański, do którego wykonania wytrwale i konsekwentnie zdążał, polegał na zwiedzeniu wszystkich — bez wyjątku, samodzielnych szczytów i turni Tatr Wysokich. Niestety, losy niepozwoliły mu

spełnić tego zamiaru, jakkolwiek był już stosunkowo niedaleko jego urzeczywistnienia. I w rzeczy: samej z polskich taterników nikt nie dorównał Karłowiczowi ilością zwiedzonych szczytów.

Karłowicz — aby skreślić sylwetkę jego jako taternika — był szczupły, słusznego wzrostu. Charakterystyczne rysy twarzy i wysokie czoło znamionowały szlachetność, niezwykłą inteligencyę i nieugiętą wolę. Był to człowiek o którym można powiedzieć, że posiadał istotnie „zmysł górski“.

Cechowała go przedewszystkiem nadzwyczajna wprost pamięć terenu, każdy szczegół górski raz widziany utrwalał się w nim na zawsze. Dzięki tej pamięci i swym nadzwyczaj licznym, w najróżnorodniejsze strony Tatr skierowywanym wycieczkom, stał się Karłowicz znawcą Tatr pierwszorzędnym. Nie waham się twierdzić, że pod względem znajomości Tatr nie miał on równego sobie nikogo wśród całej rzeszy taterników, a z ludzi wogóle jeden tylko Klimek Bachleda mógł mu w tej wiedzy dorównać.

Ze świetną znajomością gór łączył w sobie zdumiewający zmysł oryentacyjny i talent wyszukiwania drogi. Te właściwości umiejętności chodzenia po górach są u nas wogóle niedoceniane; główną wagę kładzie się na trudności techniczne i na zdolność ich pokonywania. Aby zrozumieć ważność tych czynników, należy wiedzieć jak wielka zachodzi różnica między wycieczkami samotnemi, a odbywanemi w kilku, należy rozumieć czem różnią się wędrówki utartymi szlakami od zwiedzania dolin i szczytów nieznanych. Karłowicz — na swoich samotnych wycieczkach, znalazł na szereg wybitnych szczytów: na Solisko, Świstowy i Jaworowy drogi najłatwiejsze i najbezpieczniejsze; dokonał więcej, niż znajdując na nie szlaki najtrudniejsze — w towarzystwie przewodnika. Swoim talentem wyszukiwania dróg wyróżniał się z pośród innych na zimowych wycieczkach; bo tory wędrówek zimowych różnią się od ścieżek letnich. Z podziwem patrzyliśmy na niego, gdy wiódł nas zimą z Liljowego na Zawory, lub gdy od Ciemnych Smereczyn przechodził do Hlińskiej Doliny.

W górach szedł krokiem powolnym, wyrobionym; cechowała go przedewszystkiem wytrwałość i łatwość, z jaką znosił najforsowniejsze marsze i męczące, szereg dni trwające wyprawy. Na skałach wspinał się pewnie, zawsze jednak z nadzwyczajną ostrożnością; nigdy nie ryzykował: kilkakrotnie wracał się z przed miejsc, o których przypuszczał, że byłyby dla jego sił za trudne, robił to ze względu na Matkę. „Nie chcę — mawiał — aby niebezpieczeństwo moich wycieczek było większe, niż przechodnia na ulicach wielkiego miasta“. Jak tragicznego oświetlenia nabiera w tych słowach katastrofa pod Małym Kościelcem!

Pozatem odznaczał go zawsze spokój i równowaga umysłu nawet w najgorszych sytuacyach. Z właściwością szybkiego decydowania się łączyła się umiejętność „urządzania wycieczek“, przez co rozumieć należy zdolność umiejętnego układania planu wycieczki i wykonania tegoż; a tej zalety brak większości naszych taterników.



Fototypia A. Trybalski, Kraków. S. T. T. T.

M. Karłowicz

Posiadał inicyatywę turystyczną w najpełniejszem tego słowa znaczeniu. Umiał wyszukiwać problemy w Tatrach, wielkie i piękne; niektóre— odkładane na późniejsze lata zdumiewały nas swoją śmiałością. Chętnie też udzielał swych pomysłów drugim: inicyatywie Karłowicza zawdzięczają pp. Kulczyński i Świerze swoje piękne wyjście na Świstowy Szczyt od zachodu.

Chciał być taternikiem prawdziwym, możliwie samodzielnym i wszechstronnym. Chciał umieć zwiedzać góry w każdym czasie i w każdych warunkach. Zgodnie z duchem nowoczesnego taternictwa wyzwolił się rychło z pod opieki przewodników. Ideałem jego były wędrówki samotne. Aby móc zwiedzać Tatry w zimie nauczył się jeździć na nartach, narty jednak uważał jedynie jako przyrząd turystyczny; narciarzem-sportowcem nigdy nie był. Posiadał dokładną znajomość teoretycznej literatury alpinizmu; aby wykształcić się praktycznie możliwie najlepiej — wyszukał na Suchym Wierchu „szkołę do ćwiczeń w wspinaniu się“, którą wspólnie z Włodzimierzem Boldireffem kilkakrotnie jesienią z. r. odwiedzał.

Ulubionem zajęciem Karłowicza była fotografia górska, a aparat fotograficzny nieodłącznym jego towarzyszem. Niejednokrotnie wychodził w góry jedynie dla celów fotograficznych; ostatnia wycieczka była z takich jedną. W fotografii górskiej doprowadził do mistrzostwa, jego zdjęcia tatrzańskie są w większości skończonemi arcydziełami, a albumy jakich kilka zostawił podziw wzbudzają.

*

Wśród rzeszy taterników wyróżniał się Karłowicz przedewszystkiem poglądem na cele i istotę taternictwa. Należał on do typu alpinistów uczuciowych, którzy idealne i symboliczne znaczenie gór szczególnie silnie odczuwają. U Karłowicza wcieleniem tego symbolicznego i idealnego znaczenia gór była ich piękność. Dlatego streścił zapatrywania swoje na istotę taternictwa w zdaniu: „Idealnym typem turysty byłby dla mnie ten, coby wyruszając w góry z jasno określonem pragnieniem szukania wrażeń w pierwszym rzędzie estetycznych, posiadał jednocześnie tyle silnej woli, odwagi i wyrobienia, ażeby wszelkie trudności stały się dlań tylko urozmaiceniem wyprawy“. Pamiętnem jest, gdy pierwszy raz z tą tezą wystąpił na Walnem Zgromadzeniu Sekcyi turystycznej w r. 1907. Teza ta była potem przez długi czas tematem namiętnych dysput prowadzonych w kołach taterników. Stale zwalczano ją, lecz Karłowicz stał przy niej niewzruszenie, nie zważając, że była tak mało popularną. Mówił tylko: „najbardziej boli mnie to, że na program mój piszą się bez zastrzeżeń ci, z którymi mnie nic nie łączy“.

Sądzę, że istotnym powodem, dla którego teza Karłowicza nie cieszyła się powszechnem uznaniem, było niezrozumienie jej przez większość taterników. Jak ją należy rozumieć wskazałem wyżej, a ilustracyą tego, jak ją sam Karłowicz rozumiał niech będą słowa jego wypowiedziane niedawno do podpisanego: „między moim a pańskim sposobem patrzenia na Tatry niema zasadniczych różnic“.

Zasadzie swojej szukania w turystyce przedewszystkiem estetycznych motywów, hołdował Karłowicz i w literackiej działalności. Pozostał po nim szereg mistrzowskiem piórem skreślonych opisów wycieczek, które w każdym wierszu tchną najwyższem uwielbiem gór i ich piękności. Był Karłowicz stylistą znakomitym, nie mającym równego sobie w tatrzańskiej literaturze, najdoskonalszy malarz przyrody górskiej. Pisał słowami prostemi, niewyszukanemi, z których dziwna płynęła serdeczność; mowa jego była górom podobna, których piękność opiewał. Wszystkim nam są artykuły Karłowicza, z których tyle ukazało się na łamach „Taternika“, zbyt dobrze znane, aby tu o nich pisać należało. Chciałbym jednak zwrócić uwagę dzisiejszych taterników na nieznany im zapewne opis wycieczki na Gierlach i Szczyt Mięguszowiecki, ogłoszony przed czternastu laty w Wędrowcu. Ten obok wycieczki: „Po młodym śniegu“ najwybitniejszy artykuł Karłowicza, napisany ręką dziewiętnastoletniego młodzieńca, jest przepiękną ilustracyą doby dawno w Tatrach minionej i najlepszem oświetleniem postaci Karłowicza jako taternika. Już w tym opisie przeczuć można przyszłego twórcę estetycznego kierunku w taternictwie, a za przykład mistrzowskiego malowania przyrody górskiej niech służy następujący wyjątek:

„Przyglądałem się królowi tatrzańskiemu i widziałem, jak w miarę zachodu słońca ciemniały ściany jego, a szarzały podstawy zieloną trawą porosłe. Powoli zacierała się różnica między skałą a trawnikiem i nareszcie Garłuch przedstawił się w postaci jednolitej bryły, z poza której już ledwo gdzieniegdzie wybiegały purpurowe promienia zachodzącego słońca. Lecz i te zginęły, a ciemność szybko zaczęła zalegać. Wkrótce ukazała się jedna gwiazda na niebie, później druga, a wreszcie strop niebieski zajaśniał wszystkimi swymi świecznikami. A przedemną stał Garłuch, którego kontury prawie się zacierały. Taka była cisza w naturze, taki spokój panował tutaj, iż zdawało mi się, że jestem w bezludnej krainie, sam wobec przyrody tylko.“

*

W życiu towarzystw turystycznych odgrywał Karłowicz wybitną rolę. Jeden z najstarszych członków Sekcyi turystycznej, popierał usiłowania jej i przedsięwzięcla wszelkiemi siłami. Na wszystkich polach działalności Sekcyi pracował chętnie i owocnie, a przez miesiąc lipiec u. r. prowadził sam wszystkie agendy Sekcyi. „Taternik“ traci w nim nieocenionego współpracownika, a rolę jego na tem polu zbyteczne jest objaśniać. Prowadził kilkakrotnie wycieczki zbiorowe Sekcyi turystycznej; pod jego też kierownictwem zwiedzili członkowie Sekcyi Żabi Szczyt Wyżni i Żabiego Mnicha. Na Walnych Zgromadzeniach zawsze obecny — udzielał cennych rad i wskazówek. Pracując w Sekcyi jak najwydatniej uchylał się od przyjęcia jakiejkowiek godności w Zarządzie; natomiast — widząc, że Zakopiański Oddział Narciarzy mało ma pracowników — zgodził się przyjąć w nim stanowisko wiceprezesa, ofiarowane mu w listopadzie z. r. przez Walne Zgromadzenie Oddziału. Jako wiceprezes Oddziału przeprowadził wespół z M. Zaruskim prze-

budowę schroniska na Hali Gąsienicowej na schronisko zimowe, a koszta z tem złączone w części sam pokrył. Pod jego kierunkiem odbył się również podczas Bożego Narodzenia kurs narciarski. Członkiem Towarzystwa Tatrzańskiego był Karłowicz od lat kilkunastu, a niedawno wpisał się również do Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego.

*

Blady to i niedokładny obraz życia i działalności tego co odszedł od nas jako taternik wielki i doskonały. Jedno mi tylko dodaje otuchy: wszak znaliście go zbyt dobrze, wy wszyscy, którzyście związani ze zmarłym wspólną miłością Tatr. To pozwoli stworzyć w duszy Waszej obraz zmarłego druha, obraz godny tej najpiękniejszej postaci, jaką kiedykolwiek taternictwo nasze wydało.

Obraz ten, w sercach taterników wyryty i góry nasze, niebotyczne wierzchołki Tatr, będą Mu pomnikiem najpiękniejszym, jaki człowiek może mieć na tym świecie: niezmierzonym i nieśmiertelnym!

Roman Kordys.

Zestawienie bibliograficzne
pism taternickich Mieczysława Karłowicza.

1) Kościelec (Kurjer Zakopiański z r. 1892, Nr. 2).

2) Kominy (Kurjer Zakopiański z r. 1892, Nr. 6).

3) Wycieczka na Króla Tatrzańskiego i Szczyt Międzuszowiecki (Wędrowiec z r. 1895, Nr. 7—10).

4) Turyści — „włamywaczami“ (Taternik z r. 1907, Nr. 1).

5) Przejście z Dol. Jaworowej do Zielonego Stawu Kiezmarskiego przez Przełęcz Kołową (Taternik z r. 1907, Nr. 2).

6) Droga na Szczyt Żłobisty (Taternik z r. 1907, Nr. 2).

7) W ważnej sprawie (Taternik z r. 1907, Nr. 3).

8) Międzynarodowa wystawa sportowa w Berlinie (Taternik z r. 1907, Nr. 3).

9) Po „młodym śniegu“ (dziewięć dni w Tatrach) (Taternik z r. 1907, Nr. 4).

10) Wśród śniegów tatrzańskich (Słowo Polskie z dnia 7. lutego 1908 r.; przedruk: Zakopane z r. 1908, Nr. 4 i 5).

11) W jesiennem słońcu (Taternik z r. 1908, Nr. 3).

12) Rohacze (Taternik z r. 1908, Nr. 4).

13) Z wycieczek samotnych (ukaże się w Pamiętniku Tow. Tatrzańskiego za r. 1909).

J. Ch.

Ostatnim śladem.

Infandum renovare dolorem...

Znowu mam dążyć przez śnieżne bezdroża za nieuchwytną postacią zgasłego taternika-druha, szukać wzrokiem miejscami zawianych już śladów nart jego, na skrzydłach kurniawy lecieć myślą tam, gdzieś, pod nieznane jeszcze turnie, gdzie go uwięziło jakieś nieszczęście... a potem chodzić jak obłędny po wielkiej mogile i stawać, i słuchać, i nasłuchiwać, czy nie idą ze śnieżnych głębin jakieś głosy życia... I czuć swoją niemoc wobec władzy śmierci, rozumieć, że góry sam nie podźwignę i nie wyprowadzę go z mogiły do życia.

Po raz drugi całą mękę tę przeżyć.

Wszakże posłuszny głosowi obowiązku i wezwaniu Waszemu bez szemrania to czynię.

Był wtorek, dzień 9-ty lutego i zarazem dzień urzędowych mych godzin w biurze Tow. Tatrzańskiego. Właśnie w biurze byłem zajęty, gdy koło godz. 11-tej przed połud. weszła matka ś. p. Mieczysława, pani Irena Karłowiczowa. Wielkie przygnębienie znać było w jej całej postaci. W kilku słowach opowiedziała swe niepokoje. „Naznaczyłam sobie — mówiła pani Karłowiczowa — dwa terminy: jeden — godzinę 10 rano i ten już minął, drugi porę obiadową. Jeśli na obiad nie wróci...“ Nieszczęśliwej matce trudno było uwierzyć, że Mieczysław może nie wrócić. Prosiła, żebym po obiedzie udał się ku Czarnemu Stawowi.

Ze ś. p. Mieczysławem Karłowiczem bywałem w Tatrach na wycieczkach i znałem jego niezwykłą ścisłość i punktualność, która przybierała cechy jakiejś machiny automatycznej, gdy chodziło o godziny powrotu z górskiej wycieczki: ani noc, ani burza nie mogły go wtedy powstrzymać. Czynił to dla matki, aby jej oszczędzić chwil niepokoju i wyczekiwania.

I oto ten Karłowicz, wyszedłszy wczoraj do Czarnego Stawu, dziś o świcie nie wrócił, — dziś do godz. 11. nie wrócił!

Nie wątpiłem, że zaszedł jakiś wypadek. Lawina, lawina — dźwięczało mi w uchu; daj Boże, żeby zwichnięcie lub złamanie nogi.

Uspokoiłem jak mogłem panią Karłowiczową, wszakże oświadczyłem, że zaraz wyruszę. Posłałem służącego po Staszka Gąsienicę Byrcyna, do którego umiejętności jazdy na nartach najwięcej mam zaufania, — żeby natychmiast z workiem turystycznym, nartami i łopatą (drugą łopatę miałem wziąć ze schroniska T. T. na Hali Gąsienicowej) stawił się u mnie; sam zaś poszedłem do domu przygotować się do drogi. O godz. 12½ jechaliśmy już ze Staszkiem sankami do Kuźnic. Po drodze wstąpiłem jeszcze do pani Karłowiczowej — głównie dlatego, ażeby sama widziała, że pomoc dla jej syna już poszła.

Przewidywałem, że tragedya pod Małym Kościelcem się rozegrała: w drodze do Kuźnic przypuszczenia swe wypowiedziałem Staszkowi. W Kuźnicach wstąpiłem do leśniczówki i tam od leśnego Marcina dowiedziałem się,

że w przededniu koło godz. $6^1/_2$ rano Karłowicz koło leśniczówki przechodził, że tegoż dnia troje jeszcze turystów na karplach podążyło na Boczań, ale niebawem wrócili, — Karłowicza z powrotem nie było. Ruszyliśmy więc śladem. Coraz wyraźniej znać było na śniegu pomiędzy odciskami karpli ślady nart. Na Boczaniu śnieg w jednem miejscu pokruszony nartami: pierwsze zdjęcie fotograficzne. Na Skupniowym Upłazie ślady karpli raptem urwały się, dalej biegły samotnie dwie nitki, wyżłobione nartami.

Czemu tym trojgu zabrakło siły brnąć w młodym śniegu! Tyle razy widziałem w bardzo nawet głębokim śniegu ślady stóp wiodące do Hali Gąsienicowej, a nawet do Czarnego Stawu. Czemu tych troje na samym wstępie cofnęło się! Byliby jeszcze wczoraj wieść do Zakopanego przynieśli! Znać sądzono mu już było zginąć samotnie.

Był to właśnie czas, gdy po długiem zachmurzeniu po raz pierwszy wyjrzały góry na słońce, — przepyszne, białe, w śnieżnych gronostajach królewskiej swej szaty, uginały się, rzekłbyś, pod ciężarem śniegu. Lute mrozy zazdrośnie strzegły całości tej szaty. Na każdem zboczu, pod każdą granią wisiały niespadłe jeszcze lawiny. Rozumiał to Karłowicz i już na Skupniowym Upłazie szukał drogi bezpiecznej. Niedaleko od miejsca, gdzie upłaz opiera się o Kopę Królową, ślady na grań wybiegają i ciągną się wąziutką granią do samej Kopy. Na Hali Królowej ślady nawpół śniegiem zasypane ledwo dostrzegalnie w las młody skręcają... zrozumiałem dlaczego, widać liczył się z możliwością lawiny na zboczu pod Zakosem, tam, gdzie letnia ścieżka idzie. Ogromnem półkolem objechał Karłowicz to zbocze. Śnieg tu niesłychanie głęboki i istotnie gdyby nie kosówki i smreczki każdej chwili mógł ruszyć lawiną. Dnia tego śnieg w górach prószył, lekka kurniawa zasłaniała wszystko welonem. Pokazały się już szałasy. Wzrokiem sięgam jak mogę najdalej. Tam, daleko, pod turniami Małego Kościelca ta rysa ciemna na śniegu? Na dole, na dole śnieg pokruszony... Tam, tam! Przeczucie złe dźgnęło mię w serce. Tam spadła lawina — nie wątpię. Ale czyż to jedną lawinę widzi się na wycieczce?

Zjeżdżamy ze Staszkiem co prędzej ku szałasom Gąsienicowym. Śnieg młody tamuje bieg nart naszych; wchodzimy do schroniska — płaszcz Karłowicza wisi na ścianie, na stole rozłożona kuchenka polowa. Był tu i krótko popasał. Za śladami nart dalej dążymy w górę ku Kościelcowi, wziąwszy ze sobą drugą łopatę. Droga i tu z wielką rozwagą wybrana, kierując się w górę ominąć chciał widocznie strome zbocze w pobliżu rozłożystego drzewa z tabliczką T. T. na letniej ścieżce, na którem to zboczu w roku zeszłym strąciłem nartami lawinę ze 20 m. szeroką. Na grani odsłania się widek straszny: ślady nart, idące po zboczu gubią się w brózdach i pokruszonych bryłach śniegu już spadłej ogromnej lawiny.

Z drugiego końca już nie wychodzą! Naga i bezduszna prawda: to jego mogiła!

Każę Staszkowi pozostać na miejscu, bo śnieg wszędzie niepewny, i ze stromego zbocza zjeżdżam na lawinę. Śnieg twardy, zbity i świeżo dzi-

siejszym śniegiem przysypany, kopiec olbrzymi: 80 m. długości, do 50 m. szeroki — grób śnieżny!

Co robić? gdzie szukać? Wieczór się zbliża.

Zaczęliśmy kijami sondować lawinę, czy nie natrafimy na ciało, na przedmiot jaki — nartę lub kij narciarski; schodziliśmy całą lawinę, w różnych miejscach szukali. Napróżno.

Już 30 godzin minęło od chwili katastrofy. Znając ś. p. Karłowicza i jego na wycieczkach zwyczaje, wyliczyłem, że przez to miejsce przechodził koło godz. 11 przed połud., nadzieja słaba uratowania jeszcze się, jeszcze kołacze, może tak słaba, jak to serce konające być może w tej chwili w lawinie.

Zmrok już kirem góry osłaniał, gdyśmy wrócili do schroniska Tow. Tatrz. na Hali Gąsienicowej. Posłałem Staszka do Zakopanego z kartką tej treści:

„Karłowicz zginął zasypany lawiną pod północną turnią Małego Kościelca. W lawinie szukaliśmy go napróżno. Czekam na Hali Gąsienicowej na ludzi z łopatami.“

Staszkowi poleciłem 12 ludzi sprowadzić. Sam pozostałem w schronisku na noc, bezsenną i długą. Nie mogłem wszakże w niem długo usiedzieć, nałożyłem narty, zapaliłem latarkę i na mogiłę wróciłem.

Księżyc już, już miał się wynurzyć z za szczytu Żółtej Turni, posępne Granaty stały w aureoli świetlnej kurniawy, którą wiatr na ich czołach podnosił, gdy przybyłem na miejsce.

Słucham... może dźwięk jaki skąd doleci? może ktoś z głębi pocznie kołatać?

Na śniegu się kładłem, przykładałem ucho do śniegu, nasłuchiwałem, chodziłem po tej nieszczęsnej mogile, szukałem w niej kijem od nart, gdy czułem dotknięciem coś w śniegu obcego, kopałem przyniesioną łopatą...

Nic! głucho i pusto.

Straszliwe jak śmierć samo milczenie! Jedna z najcudowniejszych, jakie widziałem, i najsmutniejszych zarazem mroźnych nocy tatrzańskich iskrzyła się jeszcze ostatnimi brylantami gwiazd na niebie i ziemi, wokół góry w oślepiającym blasku księżyca stały olbrzymie i nieczułe na owe tragedye, które tam, na dole się dzieją, gdy znużony i zziębły do schroniska wróciłem.

Rankiem przyszli ludzie, w ich liczbie starzy przewodnicy: Klemens Bachleda i Jakób Wawrytka* i zaczęliśmy szukać planowo. Poleciłem ludziom kopać studnie w lawinie, do samego gruntu, a tak blizko jedna od drugiej, aby przestrzeń między studniami można było dokładnie zbadać narciarskimi kijami. W każdej studni jeden, albo dwóch ludzi.

Kopaliśmy dzień cały. Dwudziestokilkustopniowy mróz utrudniał robotę: ręce i nogi marzły; styliska łopat po krótkiej pracy pokrywały się grubą

*) Prócz wymienionych dwóch: Jędrzej Marusarz, Jan Gąsienica Byrcyn, Jakób Bachleda, Stanisław Brzega, Józef Wawrytka, Staszek Gąsienica Byrcyn i potem, na trzeci dzień, Jan Pęksa. Przyp. aut.

warstwą lodu, który trzeba było ustawicznie obtłukiwać. Rękawice do stylisk przylepiały się.

Pod wieczór przybyli jeszcze trzej narciarze, pp. A. Góraś, S. Zdyb i J. Lesicki, z nich dwaj ostatni z łopatami i stanęli do roboty.

Dzień ten nie dał żadnego pomyślnego wyniku. Nie wątpiliśmy, że w grobie śnieżnym musiało zamrzeć już życie. Chodziło o odszukanie ciała.

O zmroku wróciliśmy do schroniska — ludzie musieli odpocząć i ogrzać się. Wieczorem przybyli jeszcze na nartach pp. St. Barabasz, przewodniczacy Z. O. N. i L. Loria.

Nazajutrz w zwiększonym zastępie wzięliśmy się do pracy; kopaliśmy teraz w mniejszym, północnym kopcu lawiny. Śnieg tutaj, zarówno jak w kopcu głównym, tak był stłoczony i zbity w gęstą masę, że drewniane łopaty zupełnie go nie brały: tylko żelazne łopaty i rydle mogły łupać bryły podobne do brył gliny. Wychodząc ze studni robiliśmy w ścianie stopnie i po nich wyłazili na powierzchnię.

O godz. 11 m. 20 z jednej studni rozległ się głos pracującego w niej przewodnika, Jana Pęksy: „Jest pan!“ Skoczyliśmy w kierunku tym wszyscy.

W gęstej masie śniegu widniała krawędź narty.

Zachrzęściały łopaty, warstwa śniegu w oczach malała, — ukazały się kute gwoździmi turystyczne trzewiki i cała postać, leżąca na nartach twarzą ku ziemi z rękoma naprzód wyciągniętemi... Nad głową na kilka cm. odtajana próżnia. Ciało już sztywne.

Oczekiwaliśmy wszyscy tego smutnego rozwiązania zagadki, a jednak prawda straszną była w swej bezwzględności.

Wyjęto ciało z grobu. Na plecach worek turystyczny, czapki na głowie nie było, widocznie śnieg falą przepływając ponad nim, czapkę mu zabrał. Taksamo i czekan, który do dziś tkwi gdzieś w lawinie.

Nos był trochę spłaszczony ku górze, pozatem ani na ciele, ani w odzieży żadnych uszkodzeń: śnieg widocznie zasklepił go odrazu miękko lecz szczelnie, jak w formę gipsową. W tej formie śnieżnej, nie wykonawszy najmniejszego ruchu, umarł. Nad ciałem było na $1^1/_4$ m. śniegu.

Z własnych nart nieboszczyka zrobiono prowizoryczne sanki, uwiązawszy do nich poprzecznie dwa kawałki drzewa, w płachtę owinięto ciało i złożono na nartach. Ciało do nart przywiązano. Długą linę ujęli górale i ruszyliśmy ku Hali Gąsienicowej.

Gdy ciało odnaleziono, natychmiast posłałem Staszka z kartką do Kuźnic, zapowiadając przybycie ciała na godz. 4 po południu. Przed odejściem zrobiłem szkic odręczny turni i zanotowałem dokładnie miejsce wypadku.

Nad wyraz smutny był pochód nasz ku Zakopanemu. Właśnie, niemal w chwili, gdy zwłoki znaleziono, powstała sroga zadymka, która nie opuściła nas już do Kuźnic, długi sznur górali, brnących w śniegu głębokim, — białe cuhy ich jak skrzydła na wichrze trzepocą — za nimi nizko w śniegu płynie postać w całunie.

Ku Karczmisku szreń była tak twarda, że musiano rąbać stopaje. Na Upłazie ludzie szli niżej, myśmy na nartach jechali nad nimi, trzymając ciało na linach, by na dół nie osunęło się.

Posępny korowód do Kuźnic przybył o godz. 4 po połud., gdzie oczekiwali już: lekarz stacyi klimatycznej dr. Żychoń, komisarz stacyi klimatycznej p. Janowicz, dr. Andruszewski, medyk Lisicki i wielu innych. Wszystko, dzięki poleceniom i osobistej pomocy hr. Zamoyskiego było przygotowane do zastosowania zabiegów, mających na celu przywrócenie życia. Daremnie! Duch nie powrócił do ciała, życie młode zagasło!

*

Lawina, która pogrzebała ś. p. Mieczysława Karłowicza była lawiną warstwicową z młodego śniegu. Nie była ona deską śniegową w ścisłem tego słowa znaczeniu, gdyż brakło jej spoistości, charakteryzującej deskę; wszakże ze względu na sposób jej oderwania się można ją odnieść do tej kategoryi. Wypadek zaszedł na wschodniem zboczu Małego Kościelca, w miejscu zasłoniętem od wiatrów zachodnich; śnieg tam podczas padania nie był w gęstą masę przez wiatr stłoczony, lecz leżał dość miękką, do 30 cm. głęboką warstwą, tylko w żlebie i wśród kosówek było jego więcej. Jak zaznaczyłem wyżej, przez kilka dni poprzednich śniegi w górach padały, poczem nastąpiły mrozy. Śnieg w takim niemal stanie jak bezpośrednio po spadnięciu pokrywał wszystkie zbocza i turnie, nie było odwilży, nie mógł też on ani z warstwą starego śniegu dokładnie się spoić, ani nawet we własnej swej masie. Pod samemi wszakże turniami u wylotu żlebu spoistość jego była już większa, na dole bardzo słaba.

Tam, gdzie kończą się dubrawiska Małego Kościelca, jest ścianka skalna — turniczka, widzialna ze ścieżki — potem żleb, a dalej znowu ścianki turni M. Kościelca. Jedna z nich wielka o wyglądzie przewieszonej płyty. Pod tą płytą był środek lawiny. Lawina wszakże wypadła ze żlebu pomiędzy tą płytą a ścianką wysuniętą na północ i zaraz na grzędzie (ledwo dostrzegalnej) u wylotu żlebu, rozbiła się na dwa strumienie: jeden — południowy — utworzył kopiec główny lawiny, drugi — północny — kopiec mniejszy. W tym mniejszym, o długość 3 m. od ostatniej krawędzi lawiny, znaleziono ciało.

Wypadek ten — przekonany jestem — miał przebieg następujący: Karłowicz idąc w górę dubrawiskami w pobliżu turni M. Kościelca znalazł się za wysoko, mniej więcej w połowie wysokości całego zbocza, licząc od podnóża skał. Należało mu albo pomiędzy kosówkami stromo zjechać na dół, albo podać się pod same turniczki. Coś go jednak złudziło, zapewne skąpo rosnące kosówki na wypukłości (rodzaju grzędy) gruntu pod samym żlebem. Kosówki te stary śnieg dobrze trzymają, ale dla młodego ich wierzchnie gałązki nie są żadną oporą. Kosówki go omamiły i ruszył poziomo, zamierzając przetrawersować pole na wysokości, na której się znalazł. Prawdopodobnie był nawprost żlebu, gdy nagle z błyskawiczną szybkością całe zbocze ruszyło. Musiało się to dziać w ten sposób, że najpierw drgnęły pod nartami niższe

części warstwy młodego śniegu, a zaraz, bezpośrednio jęły bryłami się łupać części powyżej się znajdujące. Wszystko to połowę drogi jechało w postaci desek, dopiero potem w bryły się pokruszyło, częściowo nawet przechodząc w lawinę pyłową.

Odruchowo musiał Karłowicz skierować się do ucieczki (miał foki na nartach) i może nawet parę metrów samoistnie ujechał; (dlatego sądziłem, że mógł minąć ową wypukłość gruntu pod żlebem i zacząłem poszukiwania w kopcu południowym) wszakże strumień śniegu zabrał go z powrotem; potknął się dopiero na kopcu, który usypały warstwy poniżej jego drogi się znajdujące, upadł, a tuż za nim wtoczyły się fale brył (jeszcze dość miękkich) i śniegu płynnego, które przeszły przez niego, zabierając mu czapkę i czekan. Zasklepiły go w jednym momencie. Utrata przytomności i śmierć musiały nader szybko nastąpić.

Czas od ruszenia lawiny do spadnięcia ostatniej jej cząstki nie przewyższył zapewne 3 sekund. W czwartej zapanował już spokój.

Długość lawiny 80 m., szerokość do 50 m., głębokość do 5 m. Studnie kopaliśmy do $3^1/_2$ m., głębiej sondowali kijami.

Spadła tylko warstwa młodego śniegu. Miejscami jednak, głównie koło południowej krawędzi, oderwane zostały dwie głębiej leżące kolejne warstwy dawniej spadłych śniegów. Wysokość warstwy młodego śniegu nie przewyższała 30 cm., w żlebie wszakże wynosiła około 60 cm.

Jak dobrą ochronę stanowią grzędy przekonałem się na tej lawinie: pod wypukłością gruntu pod żlebem, o której była mowa, śnieg młody pozostał nietknięty.

Na dole znajduje się kotlinka, ograniczona wysoką moreną. Lawina jednak do dna tej kotlinki nie doszła, lecz zatrzymała się na zboczu.

Tyle wyczytałem z ostatnich śladów nart nieodżałowanego druha-taternika.

Niechaj w spokoju spoczywa!

Marjusz Zaruski.



Znak ś. p. M. Karłowicza.

WIZYE

(Wspomnienie koncertu pośmiertnego Mieczysława Karłowicza).

MOTTO:

. . . .
Groźnie patrzyły ku nam siwe Tatry.
W zaczarowaną i nieznaną moc
Ciągnęły do się opuszczone watry
Liliowe mroki — i gwiaździsta noc.

Różane świty i złote zaranie!
Z potęgą biły od tych skalnych wrót
Nienawiść jakaś i orle kochanie
Zapamiętanie duszy — niby cud!

Sala przepełniona. U wejścia zirytowane, podniecone głosy żądają kart wstępu. — Niema — zabrakło!

Nie witam się wcale ze znajomymi, idę do sali trochę oszołomiona tłumem ludzkim. W drzwiach zdenerwowany odźwierny prosi o bilet, wypatrując równocześnie rysiem okiem gości, którzy bez biletów chcą sobie zdobyć wstęp. Podaję małę karteczkę, wywalczoną prawie dla mnie ubiegłego wieczoru przez moją siostrzyczkę — entuzyastkę i mozolnie odszukuję w ciżbie ludzkiej krzesło.

Skupiam całą duszę, żeby się wsłuchać w smutną duszę Karłowicza, w jego pieśń, w te ostatnie jego słowa z zaświatów!

Zapominam, że naokoło mnie są ludzie i zaczynam go słuchać — słuchać... — — I zaczynam go rozumieć.

To jęk życia — a potęga; to konieczność przemijania — a tęsknota wieczności; żal tak głęboki, że już zupełnie spokojny — i nagłą zjawą widzę tę wytworną, szczupłą głowę, piękne, surowe usta o błyskawicznym, nieprawdopodobnie słodkim uśmiechu, widzę te ręce muzyka, o bardzo wązkim przegubie, szlachetne i giętkie, które mi nalewały złotawego wina do radosnych toastów na cześć schroniska tatrzańskiego, na chwałę Morskiego Oka, dla naszych Tatr. Na tle gorącego potoku wesołych słów i dziarskości drużyny turystycznej był on dziwnie cichy i uśmiechnięty.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Zaczynają grać fale. Zmysłem, nieznanym zwykłym ludziom, podsłuchał Karłowicz złotą baśń szafirowych jezior tatrzańskich. Z głęboką, filozoficzną treścią przedziwnie łączy się subtelna malatura przyrody. Tak się wsłuchać może tylko wybrany kochanek, któremu kryształowa toń nie wzbrania swych tajemnic. Biegną nurty lekkie, świetliste, złote, niby igraszka; pieśń się kołysze słodka, dziwnie przejmująca. Przedzwaniają na tej fali srebrne struny siklawy, mieszają się i wybiegają z ogólnej linii melodyi śliczną arabeską dysonansów. Drży w nich tajona trwoga! I trwoga przeczuć ogarnia serca!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Spotkałam się z nim raz tylko w życiu na owej gwarnej hucznej biesiadzie, podczas otwarcia schroniska nad Morskiem Okiem. Hej! Dobre czasy! Widzę całą galeryę Sekcyi turystycznej, charakterystyczne głowy, jedna w drugą, Chmielowskiego, Kordysa, Znamięckiego, suchą sylwetkę Króla, siwe, świetliste oczy Władki Jankowskiej, czarniawą postać Klimka Bachledy, „króla“ przewodników tatrzańskich, a za nim płową czupryną „Bacy“, całą brać od lin i ciupagi, a nadewszystko ową mądrą, cichą głową p. Mieczysława, jak z dobrym uśmiechem żartował ze mnie, żem jak prawdziwa „bacowa“ owinęła głowę krasą chustą i nieustraszona toaletami paryskiemi, w serdaku i chuście wygłaszam płomienny toast na cześć skalnej korony Polski!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Fale dobiegły środka jeziora. Chwilę zatrzymują się niejako w biegu. Ledwo dosłyszalny pomruk. Jakaś niby cisza, jakby się ważyły losy ludzkie na uciszonej zdradnie głębi. Nagle podchwytują flety rozpłakanemi głosami motyw trwogi! Odpowiada im złowrogi łoskot podziemnych toni — instrumenty jęczą wszystkie w bezwładnym szale strachu, motyw fletów cichnie, niby zdławiony — wśród targającej nerwami burzy symfonii uderza nagle grom litaurów. — — — Już wydostały się z przepaścistej toni te odwieczne nurty, najpotężniejsze, lśniące pianą, ciemnogranatowe i pochłonęły cały rój ruchliwych, złotych, pląsających fal. To potęga losu, to „Dola“ przeszła po złotych marzeniach i starła je. Otchłań już spokojna, otchłań już ciemna.

Widzę jak przez mgłę cień Sołtysa, jak hetmani swojem wojskiem instrumentów. Ręce jego chwytają, zda się, całe snopy tonów, pieszczą je miłościwym ruchem, prawie bezwiednym rozkazem przesyłają orkiestrze.

Hej! Przypomniał mi się dzień, gdym bardzo smutna siedziała nad brzegiem Morskiego Oka z duszą dziką i wzburzoną, w wykrotach kosodrzewiny sama, bom nie chciała towarzystwa. I po przez cały bunt wewnętrzny, poprzez tłum zapamiętałych myśli doleciało mnie nagle granie jeziora. Zrazu głucho i niewyraźnie, później coraz potężniej śpiewały sobie Tatry w zaczarowanej głębi. Uderzyło mnie wtedy, jak odrębna jest melodya fal tatrzańskich, jak różna od lazurowych wód szwajcarskich i innych. Jeziora nasze mają mało przestrzeni, a znaczną głębię. To też gdy toń się zwichrzy wiatrem, co spada nań z wyniosłych wirchów, grają nurty zupełnie inaczej jak gdzieś — heń — we włoskiej lub francuskiej połaci Alp, błękitne fale rozlewnych jezior, których brzegi trudno ogarnąć wzrokiem. Nasze Morskie Oko, nasze „Czarne“ i „Zielone“ stawy, śpiewają smutne i wstrząsające Rondo-Adagio. Niby potęga, która świadoma przepychu swych sił, wydobywa się na świat słoneczny wspaniale i groźnie z mozołem olbrzyma i w tej samej chwili mocy i radosnej chwały ginie, łamiąc się rozpłakana na ciasnej granicy skał. —

Ta melodya jezior tatrzańskich przepłynęła duszę Karłowicza, skrystaliła się w niej i opromieniona smutkiem jego istnienia i szlachetnością wczesnej śmierci została nam oddana jako „Powracająca fala“. Wielki to dar

dla muzyki polskiej, ten poemat symfoniczny, tem bardziej, że ma w sobie tragiczne piętno bujnego, na zdradzieckich rafach życia łamiącego się bytu młodego muzyka.—

A potem staje przed nami p. Janina Korolewicz-Waydowa, taka wytworna w czarnej sukience, z wykwintną, jasnowłosą głową, która zabłysła jak kwiat nad całym tłumem głów męskich. Śpiewa jak słowik z powagą i smutkiem przejmującym; dziękuje za oklaski nieznacznym ruchem głowy, jakby chciała powiedzieć: „śpiewam sobie i jego duszy, nie wam!“ I naraz w tym cudnym śpiewie odzywa się, jakby z jakiejś chmurnej Golgoty rozdzierająca skarga:

„Smutna jest dusza moja — aż do śmierci“ — —

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Nie mogę dłużej słuchać. Łzy mnie dławią. Uciekam z sali. —

— Na dworze śliczny, dziarski dzień. Pierwszy, który nam nie na żarty obiecuje wiosnę. Życie płynie dalej, słoneczne i jasne pod spokojnym, beznamiętnym błękitem niebios.

Dr. Flora Mira Ogórek-Pankowa.

Odezwa.

Liczne w ostatnich latach przygody i wypadki w Tatrach, niejednokrotnie kończące się śmiercią, zmuszają wszystkich szczerych zwolenników Tatr i taternictwa do zastanowienia się nad środkami, — jeżeli już nie zapobieżenia złemu, to przynajmniej szybkiej a skutecznej pomocy poszkodowanym.

Nie podejmujemy się tutaj oceny samego faktu: taternictwo w ciągu trzydziestu kilku lat swego istnienia dojrzało o tyle, o tyle ogółowi stało się przystępne, że nieszczęśliwe wypadki w Tatrach zaliczone być mogą dzisiaj do normalnych zjawisk społecznych.

Dlatego właśnie musimy stworzyć instytucyę — na wzór ochotniczych straży ogniowych, pogotowia ratunkowego w miastach i t. p., któraby każdej chwili gotowa była nieść pomoc potrzebującym jej w Tatrach.

Doświadczonych taterników i przewodników sumiennych, którzy stanowić będą kadry ochotniczne i zobowiążą się na każde wezwanie czynną nieść pomoc w górach, nie zbraknie. Przechodzi wszakże siły jednostek zaopatrzyć instytucyę w niezbędne, a drogie stosunkowo ratunkowe przybory, jak: nosze, lornety, liny, apteczki i t. p. i zorganizować stałą straż bezpieczeństwa.

Zwracamy się tedy za pośrednictwem „Taternika“ do szerokiego ogółu przyjaciół Tatr i Zakopanego z gorącą prośbą o poparcie sprawy i składanie datków pieniężnych na rzecz stałego Tatrzańskiego Pogotowia ratunkowego z siedzibą w Zakopanem.

Ofiary prosimy nadsyłać pod adresem Towarzystwa Tatrzańskiego (Kraków, ul. Kolejowa l. 4.), gdzie będą one złożone do czasu, gdy pogotowie ukonstytuuje się ostatecznie i obejmie w posiadanie fundusze.

Członkowie Towarzystwa Tatrzańskiego w Zakopanem zamieszkali.

(następują podpisy).

Objawy żałoby.

Na wiadomość o tragicznej śmierci ś. p. Mieczysława Karłowicza wysłał Zarząd Sekcyi turystycznej do Matki zmarłego, pani Ireny Karłowiczowej telegram tej treści: „Tknięci do głębi wieścią o bolesnej stracie, jaką ponosimy przez tragiczną śmierć naszego ukochanego towarzysza, a Jej najdroższego syna, przesyłamy czcigodnej Pani wyrazy najgłębszego żalu. Cześć jego pamięci pozostanie głęboko wyryta w naszych sercach. Panek, Ostrowski".

Na trumnie złożono wieniec od Sekcyi turystycznej z napisem: „Najdroższemu druhowi — Sekcya turystyczna.

Podczas eksportacyi zwłok na dworzec kolejowy w Zakopanem przemówił imieniem taterników delegat Sekcyi, p. R. Kordys.

Od taterników węgierskich otrzymał prezes Sekcyi, prof. Panek następujące pismo:

„Tragiczny zgon Mieczysława Karłowicza, chluby taternictwa polskiego, znanego powszechnie i wysoko cenionego wśród członków Akademickiej Sekcyi Węgierskiego Tow. turystycznego (Akademickie Tow. turystyczne, Budapeszt), odczuliśmy boleśnie.

Wydział naszego towarzystwa uchwalił na posiedzeniu Zarządu z dn. 12. lutego — w uznaniu przyjaznych węzłów istniejących między nami a członkami Waszego, wysoko cenionego towarzystwa, Sekcyi turystycznej — wyrazić z powodu tego żałosnego nieszczęścia nasze najgłębsze współczucie. Dzielimy z Wami żałobę, jaką przez stratę zmarłego dotknięci zostaliście nietylko Wy, lecz cała polska turystyka".

W spełnieniu uchwały Wydziału z 12. lutego b. r. z wyrazami etc.

Gyula Komarnicki
prezes.

Sekcya turystyczna — Karłowiczowi.

Aby uczcić godnie pamięć Karłowicza — taternika Sekcya turystyczna przystąpi do wydania zbioru pism taternickich Karłowicza i jego zdjęć tatrzańskich.

NEKROLOGI.

O roli i stanowisku śp. Karłowicza jako taternika zamieściły liczne pisma polskie drobne wzmianki. Obszerniejsze artykuły ukazały się w „Słowie polskiem" z dnia 13 lutego 1909 i w czasopiśmie „Zakopane" nr. 4.

W niemieckich pismach turystycznych znajdujemy dwa nekrologi poświęcone pamięci Mieczysława Karłowicza. W „Oesterreichische Alpenzeitung" nr. 781 opisuje dr. A. Martin katastrofę pod Małym Kościelcem i charakteryzuje w nader sympatycznych słowach taternicką działalność zmarłego.

W nrze 22 czasopisma „Der Schnee“, organu wiedeńskiego towarzystwa narciarskiego „Alpen-Skiverein`, umieścił dr. Tadeusz Kossowicz artykuł omawiający katastrotę i rolę śp. Karłowicza, jako muzyka i taternika.

Portret ś. p. Karłowicza.

Dołączony do bież. numeru portret śp. Mieczysława Karłowicza przedstawia zmarłego w otoczeniu gór — na szczycie Szatana.

Pamięci

Mieczysława Karłowicza

(ODEZWA)

Wstrząśnięci wieścią o wczesnej, nagłej, tragicznej śmierci szlachetnego człowieka, artysty i twórcy muzyka,

odczuwając ból utraty Jego dla sztuki i dla Polski, pragnąc, aby ostatnie tony muzyczne, które przejęła dusza Jego, gdy błądził pośród śniegiem pokrytych Tatr, chociaż echo swoje pozostawiły w duszach pamiętających o nim ludzi,

niżej podpisani uznają za słuszne postawienie Mu ze składek publicznych pamiątkowego kamienia w miejscu, gdzie zginął, i wzywają wielbicieli talentu zmarłego do wzięcia udziału w zbieraniu pieniędzy na cel powyższy.

Ewentualna nadwyżka obrócona będzie na utworzenie stałej pomocy ratunkowej turystycznej w Zakopanem

Z. Czaplicki, Wacław Sieroszewski, Jan Kasprowicz, W. Zacharewicz, Gustaw Daniłowski, K. Brzozowski, Jan Skotnicki, Stefan Żeromski, M. Zaruski, Michał Sokolnicki, L. Mataszewski.

Redakcje pism polskich prosimy o pośredniczenie w przyjmowaniu składek.

Adres skarbnika: **Marjusz Zaruski,** Zakopane, Towarzystwo Tatrzańskie.

Zakopane, 16. lutego 1909.

DRUKARNIA UDZIAŁOWA, LWÓW, KOPERNIKA 20.